Rok 1901. Lwów, 24. Lutego Nr. 8.

TYGODNIK NARODOWY

POLITYCZNY, SPOŁECZNY, EKONOMICZNY i LITERACKI

ILLUSTROWANY

wychodzi każdej niedzieli

pod redakcyą Klemensa Kołakowskiego.

WARUNKI PRENUMERATY

(z przesyłką pocztową)

W Austryi i Węgrzech	koron:	rocznie 16·—	półrocznie 8·—	kwartalnie 4·—	miesięcznie: 1·40
W Rzeszy niemieckiej	marek:	„ 16·—	„ 8·—	„ 4·—	„ 2·—
W innych krajach europ.	franków:	„ 20·—	„ 10·—	„ 5·—	„ 2·—
W Ameryce północnej	dolarów:	„ 4·—	„ 2·—	„ 1·—	„ 1/2
W Ameryce południow.	franków:	„ 25·—	„ 13·—	„ 7·—	„ 3·—

PRENUMERATĘ należy uiszczać zgóry.

Najdogodniej jest przesyłać pieniądze przekazem pocztowym adresując:

Administracya „TYGODNIKA NARODOWEGO“ Lwów, Cicha 5.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w kraju i za granicą oraz Biura dzienników.

Numer pojedynczy kosztuje 40 halerzy.

Biuro Redakcyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11.

Biuro Administracyi znajduje się we Lwowie, przy ul. Cichej l. 5.

Rok 1901. Lwów, 24. lutego. Nr. 8.



TYGODNIK NARODOWY.

Redaktor: Klemens Kołakowski. Redakcya we Lwowie, przy ul. Wałowej l. 11., Administracya przy ul. Cichej l. 5.

Treść Nr. 8:

Z zaboru pruskiego.

Poznań, d. 18. Lutego.

Deklaracya, złożona poniekąd w imieniu naszej najwyższej władzy duchowej przez „Kurj. Pozn.“, „że ks. Arcybiskup wobec rządu wyczerpał już środki obrony swych owieczek“, postawiła w naszej prasie na porządku dziennym kwestyę nacisku, wywieranego przez rząd na nasze duchowieństwo.

Plan użycia obok szkół, urzędów itd. i duchowieństwa, jako narzędzia germanizacyi był jednym z wytycznych punktów bismarkowskiego programu germanizacyi ziem polskich. Osadzenie Niemca na stolicy arcybiskupiej po erze kulturkampfu i więzienia dzisiejszego kardynała Ledóchowskiego — dostatecznie wskazuje na to, jaką miała być droga, po której ku temu celowi rząd zamierzał kroczyć. Pierwsze lata panowania Wilhelma II. przyniosły reakcyę przeciw polityce Bismarka i reakcya na polu tej polityki zaznaczyła się osadzeniem na arcybiskupstwie Gnieźnieńsko-Poznańskiem obecnego arcybiskupa ks. dr. Stablewskiego.

Po krótkiej przerwie, gdy polityka pruska wróciła znowu na tory systemu bismarkowskiego, rząd pruski podjął znowu myśl użycia duchowieństwa za narzędzie germanizacyi. Ale natrafił na opór. W sferze stosunków szkolnych od lat szeregu wre w Księstwie walka pomiędzy księżmi polskimi, a nauczycielami Prusakami, — walka o dzieci polskie. Znalazła ona najdrastyczniejszy wyraz w pamiętnych słowach ks. proboszcza Szadzińskiego, który się odezwał do dzieci, że „grzechem jest, jeśli dziecko polskie w obcym języku się modli“.

Ks. Szadziński postradał za to probostwo i uchodzić musiał z granic państwa pruskiego.

Rząd oporem polskich księży nie zrażony, szukał sposobu osiedlenia ich i wynalazł ten sposób: mianowicie w postaci kwestyi katolików-niemieckich.

Zła gwiazda świeciła nad Księstwem Poznańskiem wtedy, gdy obok osiedlanych przez rząd Niemców-protestantów, pierwszy Niemiec-katolik postawił stopę na ziemi prowincyi poznańskiej: dał on sobą rządowi wyborny sposób zaprzągnięcia duchowieństwa polskiego do taczki germanizacyjnej.

Korzystając otóż z tego, że w niektórych okolicach Księstwa, osiedliła się pewna liczba parafian polskich, jak n. p. liczba polskich wychodźców w Westalii do Niemców), rząd sztucznymi sposobami rozniecił wśród nich ruch, mający na celu zaprowadzenie niemieckich kazań. Doszło do tego, że zamieszkała w parafii kilkunastutysięcznej polskiej setka Niemców-katolików stawia wobec władzy duchowej żądania niemieckich kazań przynajmniej co drugą niedzielę!

Za podszeptem organów rządu, zaczęto wnosić petycye, podpisywane przez takich „katolików“ Niemców, którzy nigdy do Kościoła nie uczęszczali i dopiero na znak, dany z Berlina, poczuli się nagle pobożnymi. Za temi petycyami o niemieckie kazania, stał naturalnie rząd, przemawiała przyjęta zasada równouprawnienia narodowości w Kościele i punktu wyjścia nie było.

W połowie parafij, które mają dziś niemieckie kazania, zaprowadzono je w ciągu ostatnich lat 3—4.

Zresztą te kazania nie byłyby same w sobie tak niebezpieczne, gdyby za niemi nie stało inne, groźniejsze niebezpieczeństwo. Przedsięwzięta bowiem przez rząd pruski akcya, zmierzająca do zaprowadzenia kazań niemieckich obok polskich, ma cele nierównie dalsze i dla losów polskiego kościoła w Poznańskiem groźniejsze; dąży ona wprost do wytworzenia wśród katolicko-polskich parafii — ściśle ograniczonych mniejszości katolicko-niemieckich, mających swe niemieckie nabożeństwa i dążących do stworzenia na razie obok polskich — i niemieckich parafii. Zamierzono sobie doprowadzić do pewnego rodzaju utrakwistycznego systemu duszpasterstw, do tego, aby obok polskiego proboszcza był proboszcz dla Niemców, obok kościoła dla katolików-Polaków, — kościół dla katolików-Niemców.

Takie postawienie kwestyi otwiera naturalnie i dalsze perspektywy w kierunku powolnego kasowania polskich nabożeństw, a pozostawiania tylko niemieckich, według znanej zasady: — wszyscy, czy Niemcy czy Polacy, jesteście katolikami, możecie się przeto modlić w katolickim kościele, choć się w nim po niemiecku kazania odbywają“.

Scharakteryzowany tu stosunek rządu do duchowieństwa polskiego w Poznańskiem, polegający na nacisku ze strony rządu, aby z księży zrobić posłuszne narzędzie germanizacyi, ujawnia się naturalnie nietylko w nakreślonych powyżej granicach, w pozytywnej formie dążenia do kazań niemieckich i niemieckich parafij,— ale też i formie negatywnej, mianowicie w postaci kładzenia przeszkód działalności duchowieństwa na polu religijnem w tych razach, gdy ta działalność mogłaby wyjść na korzyść polskości. A mianowicie:

Po ukończeniu kulturkampfu, rząd zawarł z Watykanem konkordat, na mocy którego duchowieństwo ma pewne atrybucye w zakresie polityki szkolnej. Do tych atrybucyi w pierwszym rzędzie zaliczyć należy prawo t. zw. missio canonica potrzebnej do nauczania religii, które musi udzielić władza duchowna osobom świeckim, a dopiero wtedy im wolno nauczać w szkołach.

Zagwarantowaną układami z Watykanem ingerencyę tę władzy duchowej poznańskiej, ignorował rząd, wydając bez porozumienia się z nią rozporządzenie, kasujące wykład religii w polskim języku. Widzimy tu jaskrawy przykład uszczuple-

nia praw władzy kościelnej, jako takiej w wypadku, w którym chodziło o posunięcie germanizacyi naprzód.

Zniesienie nauki religii po polsku ma nietylko znaczenie religijne, ale i narodowe; nietylko jest uszczupleniem praw religijnego wychowania, ale i środkiem germanizacyjnym. Zagraża ono nietylko religii, ale i narodowości, a nawet rzec można, że rozporządzenia te godzą duchem swym bardziej w narodowość, niż w religię.

Wobec jedynie miarodajnych intencyj germanizacyjnych, rząd w stosunku do duchowieństwa, jako władzy kościelnej, ignoruje w razie potrzeby jej charakter, jako korporacyi wyznaniowej, natomiast upatruje w niej jedynie czynnik polityczny i paraliżuje wszelkie czynności duchowieństwa, choćby z najczystszych i jedynie chrześcijańsko-wyznaniowych pobudek pochodziły, jeśliby, choćby pośrednio wpływać mogły dodatnio na rozwój narodowości polskiej. Rząd rozporządzeniami Studta wkroczył w granice atrybucyi władzy kościelnej, nie wahał się jednak tego uczynić, ze względu na znaczenie tych rozporządzeń pod względem narodowym; nie waha się on też wywierać na władzę kościelną i jej reprezentanta największego nacisku, chcąc go zmusić, aby z tych atrybucyj zrezygnował, bo one przeszkadzają rządowi w pracy germanizacyjnej.

Stosunek ten duchowieństwa do rządu, a z drugiej strony do społeczeństwa polskiego jest prawdziwym węzłem gordyjskim, wewnętrznej polityki społeczeństwa polskiego w Poznańskiem. Władza duchowna utrudnioną ma sytuacyę wobec rządu, skojarzenie interesów narodowo-polskich z religijnymi wyzyskuje w swym duchu rząd pruski, mówiąc na argumenty, wynikające z czysto religijnych pobudek, że arcybiskup się rządzi pobudkami narodowemi i jego każdy krok uczyniony w obronie religii jest obroną interesów polskich.

Tak było ze skasowaniem polskich wykładów religii. Na wszelkie reklamacye arcybiskupa rząd odpowiadał, że tu nie chodzi o religijną, ale o narodową, o polityczną stronę kwestyi i w istocie społeczeństwu polskiemu chodziło o narodową stronę mniej, jak o religijną, ale władzy duchownej z urzędu przedewszystkiem religijna na sercu leżeć musiała.

Jeśli położenie arcybiskupa wobec rządu jest trudne, to nierównie trudniejsze jest ono wobec społeczeństwa polskiego, które przyzwyczaiwszy się widzieć na stolicy Św. Wojciecha nie jednego z pruskich biskupów i arcybiskupów, lecz prymasa Polski, żąda nieraz od niego podjęcia interwencyi u rządu w obronie społeczeństwa polskiego w kwestyach takich, w którychby na korzyść samej władzy duchownej przydała się czyjaś interwencya.

I nie ulega wątpliwości, że ten ucisk rządu stawiać będzie nasze duchowieństwo w coraz przykrzejszem położeniu.

F. F.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Z parlamentu.

Po feryach zapustnych zebrała się w ciągu bież. tygodnia Izba na nadzwyczaj burzliwe posiedzenie.

Przyczyną tego były dwa oświadczenia prezydenta Vettera: w sprawie cenzurowania interpelacyj i w sprawie interpelacyj i wniosków zredagowanych nie w niemieckim języku.

Otóż co do cenzurowania przez siebie interpelacyj zapowiedział prezydent Vetter proceder następujący:

Jeżeli po przejrzeniu interpelacyj zauważę, że poszczególne ustępy jakiejś interpelacyi nie nadają się do odczytania na publicznem posiedzeniu, to zarządzę, w myśl § 57 regulaminu Izby, aby interpelacyę wstrzymano, Izbę o tem uwiadomiono, i albo na tem samem, albo na następnem posiedzeniu zapowiem „ex praesidio“ posiedzenie tajne. Na tem posiedzeniu będzie interpelacya w całej swej zawartości odczytaną, a ja zapytam Izbę, czy uchwala, aby tę interpelacyę na publicznem posiedzeniu odczytać, lub nie? Tę uchwałę Izby potem wykonam.

W sprawie interpelacyj w językach nie-niemieckich oświadczył prezydent Vetter, że wychodzi z założenia, że każdemu z posłów pozostawiona być musi możność wnoszenia interpelacyj w jego języku ojczystym, gdyż tylko w tym języku znaleść on może właściwy wyraz dla swoich myśli. Z powodu rozszerzenia prawa wyborczego na coraz szersze warstwy, znalazło się rzeczywiście wielu posłów, którzy nie władają językiem niemieckim. Jeżeli więc w przyszłości przyjmować będę interpelacye w nie-niemieckich językach krajowych, to sądzę, że uwzględnię przez to w zupełności równouprawnienie wszystkich narodowości. A podając do wiadomości Izby te wpływy, spełnię tylko wskazany mi regulaminem obowiązek.

Lecz to „podanie do wiadomości Izby“ odbyć się może, w interesie uproszczenia i przyspieszenia obrad, tylko w języku, który dla wszystkich członków tej Izby, z małemi tylko wyjątkami, jest zrozumiały. Będę więc, w następstwie tego pojęcia rzeczy, przyjmował interpelacye w języku nie-niemieckim, pokażę je ministrowi, przeciw któremu są skierowane, i postaram się w najkrótszym czasie o niemieckie brzmienie interpelacyi i w tym tekście zarządzę odczytanie takiej interpelacyi w Izbie i wcielenie jej do protokołu. Na żądanie interpelanta gotów jestem także pierwotny tekst załączyć do protokołu stenograficznego.

Oba te oświadczenia roznamiętniły swą treścią zarówno radykałów niemieckich i socyalistów, jak Młodoczechów i radykałów czeskich. Rzecz naturalna bowiem, że, przez cenzurowanie interpelacyj opozycya, a więc mniejszość, pozbawiona zostaje jednego z najsilniejszych środków objawiania swej opinii i kontrolowania rządu. To nie mogło dogadzać ani Schoenererowcom, ani Młodoczechom, ani wreszcie socyalistom i agrarzystom czeskim.

Drugie oświadczenie hr. Vettera znowu dawało klubom słowjańskim więcej, niżby chcieli Schoenererowcy; więc podnieśli oni krzyk i wrzawę; a klubom słowiańskim ograniczało dotychczasową praktykę, polegającą na tem, że każdy wniosek i każdą interpelacyę odczytywano i wciągano do protokółu w tym języku, w jakim je wniesiono. Więc i Czesi remonstrowali przeciw treści tego oświadczenia.

Zaburzenia w Hiszpanii.

Od dni kilkunastu drut telegraficzny przynosi z Hiszpanii wiadomości bardzo poważne, które początkowo mylnie rozumiano, jako objawy niechęci ludu przeciw klasztorom. Dopiero dalszy rozwój wypadków przekonywa, że właściwy powód rozruchów, które ogarniają coraz szersze koła, nie tkwi w agitacyi antyklerykalnej, ale o wiele głębiej. Gromy, które Hiszpanii zgotowała wojna z Ameryką, wytworzyły rodzaj przesilenia historycznego, a ogromna nędza i niedołężna administracya rządowa doprowadziły lud do rozpaczy i wrzenia. Przy takim stanie rzeczy lada drobna sprawa staje się zarzewiem ruchu. Tak i w tym wypadku. Ślub księżniczki Asturyi z synem hr. Caserty i przygoda z Adelą Ubao, zamkniętów przez Jezuitów rzekomo dla jej majątku w klasztorze, to już tylko przypadkowe przyczyny wrzenia. Ani jeden, ani drugi wypadek nie wzburzyłby do tego stopnia mas, gdyby rządy były lepsze i lud znajdował się w stosunkach pomyślniejszych.

Dobrobyt klasztorów hiszpańskich, a nie kościelny charakter tych instytucyj, drażnił głodnych agitatorów i łatwo dało się podburzyć tłumy — równie głodne i niezadowolone. Ale już po pierwszych demonstracyach przeciw Jezuitom, wystąpił właściwy charakter zaburzeń, charakter rewolucyjno-republikański i on to dopiero porwał masy ludu, a nawet inteligencyę. W Madrycie i kilku większych miastach łączą się z ludem akademicy, a obok okrzyków, wrogich Jezuitom, rozlegają się okrzyki: „Niech żyje wolność! Niech żyje republika!“

Gubernator Madrytu zagroził plakatami, iż wojsko użyje broni. Przestroga jednak nie skutkuje. Codziennie przeciągają tłumy akademików z okrzykami: „Precz z weselem! Naród rusza się! Niech żyje republika!“ Telegramy z dni ostatnich stwierdzają zgodnie, że ruch przybiera wybitne znamiona rewolucyjne. — Rząd wobec tego ogłosił w stolicy stan oblężenia. Nad miastem zaległa duszna atmosfera. W koszarach stoi wojsko, gotowe do pochodu, a ulice miasta wysypano piaskiem dla ułatwienia konnicy ataku na lud. Uroczystości ślubne mają być na razie zaniechane. Czy jednak to ustępstwo rządu pomoże, skoro przyczyna rozruchów tkwi w powszechnej nędzy i zniechęceniu do lichego rządu?

Jeżeli się nadto weźmie pod uwagę, że w Katalonii oddawna szerzy się ruch, mający na celu oderwanie tej prowincyi od Hiszpanii, że w niektórych ogniskach przemysłowych, jak np. w Barcelonie i w Walencyi ruch socyalistyczno-anarchistyczny wielkie w ostatnich czasach porobił postępy, że wreszcie lada chwila grozi wybuch powstania karlistowskiego, to przyjść trzeba do przekonania, że położenie Hiszpanii jest bardzo smutne i że stoi ona w przededniu wielkiej rewolucyi.

Dr. Kazimierz Rakowski.

Przez ciernie i głogi.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

„Więc pan nie widzi pożytecznego programu pracy przed nami?“ wtrącił Beńkowski. A pani rozsyła elementarze?“

— „A, pokazywała panu — roześmiał się adwokat — no, to już tam jej zabawka. To ją zajmuje — więc jeśli jej to sprawia przyjemność — —“.

Tu pani Marya zdawała się spojrzeniem prosić Stasia, aby wybaczył jej mężowi słowo: zabawka. Beńkowski więc kobiety nie zrozumie nigdy“ mówił do siebie nasz dwudziestoletni kandydat na bohatera romansu.

Przez cały następny dzień Beńkowski krążył po ulicach miasta, w nadziei, że uda mu się spotkać z panią Mączyńską. Płonne nadzieje! — wrócił do hotelu, w usposobieniu, wiernie odpowiadającem uczuciom gimnażyasty, którego zawiodła „ona“ i na pierwszą schadzkę nie przyszła. Powtarzał sobie w pamięci wszystkie szczegóły ich rozmowy, reasumował wrażenia z pobytu w Poznaniu i po dziesięć razy przychodził do wniosku, że to wszystko jest mdłe, niskie, że wszystkich trzeba dopiero podnieść na idealne wyżyny, uszlachetnić, że jedna jedyna pani Marya jest wyjątkiem, jest kobietą, dla której z rozkoszą możnaby się dać zabić, ale że życie jest wogóle — złe.



MARIENBURG (MALBORG).

tylko w myśli powiedział adwokatowi „cynik“.

Przy pożegnaniu rzekła Beńkowskiemu pani: „A niechże pan nas często odwiedza“, a Stasiowi się zdawało, że go silnie, po koleżeńsku, uścisnęła za rękę. Chodził potem długą godzinę po ulicach miasta, a przed oczyma wciąż mu stała pociągająca twarz pani Maryi, o czarnych wielkich oczach, i czuł dotknięcie jej ręki przy swych ustach i silny uścisk przy pożegnaniu. Myśl o jej mężu go złościła. „On tej

Lecz los pamiętał o nim. Służący adwokata przyniósł mu bilecik od pani — tej treści: „Przyszedł list dla pana do biura mego męża — czekamy dziś z kolacyą“.

List, o którym pisała adwokatowa, był od matki Stasia. Zacna kobieta, tając własny smutek, aby nie powiększać przygnębienia syna, którego się domyślała, wyrażała mu swą radość, że znalazł miejsce u tak wziętego adwokata i przesyłała błogosławieństwo matczyne.

List ten go rozczulił. Niewiele brakowało, a byłby całą tajemnicę swego położenia wyznał przed panią Maryą. Ale wobec niej czuł dumę mężczyzny i powstrzymał słowa spowiedzi, które mu się gwałtem na usta cisnęły. „Napiszę otwarcie wszystko jej mężowi i poproszę go o miejsce“, powiedział sobie i w nadziei przychylnej odpowiedzi, która go czekała napewno wobec takiego postawienia kwestyi, rozkoszował się przez cały wieczór rozmową z panią Maryą. Ona, czy nie do-

strzegła, czy też nie chciała dostrzegać uczuć, które się budziły w sercu młodego człowieka, pozwalała mu się napawać do woli życzliwością, uznaniem i sympatyą, jakiej on tak łaknął — od niej.

Wyszedł od nich późno, oczarowany, oszołomiony. Mimo woli wzbudzała w nim żywsze bicie serca myśl, że pracując w biurze adwokata, będzie miał sposobność, co dzień widywać panią Maryę. Jej mąż po bliższem poznaniu, nie wydawał mu się już tak antypatycznym, widział w nim tylko realistę, pozbawionego wszelkich wyższych porywów, i to go cieszyło nawet, bo myślał, że tem szersze pole się otwiera dla jej sympatyi ku komuś, kto te idealne potrzeby jej duszy zrozumie i odczuje.

Jeszcze przed pójściem spać, napisał do dra Mączyńskiego list, w którym otwarcie wyznał, że jest bez grosza i pomocy z domu i prosił go opłatne miejsce w biurze — za jakie bądź wynagrodzenie.

List zaadresował pewną, śmiałą ręką i niezwłocznie wrzucił do skrzynki pocztowej. „Jutro rano go odbierze — i odpisze“ myślał, zasypiając.

Nadszedł dzień następny, lecz przyniósł Beńkowskiemu inną odpowiedź, niż ta, której się spodziewał, lub ta, jakiej się obawiał. Wieczorem bowiem lokaj adwokata oddał portyerowi przeznaczony list dla Stasia. Beńkowski, drżąc wewnętrznie, otworzył kopertę. Znalazł bilet z kilku słowami i dwa banknoty po dwadzieścia marek. Adwokat pisał: Miejsca, niestety, nie mam dla Pana, proszę aby Pan, jako zapomogę na studya przyjął odemnie załączone 20 mrk. Drugie tyle załącza moja żona“.

Biednemu chłopcu pociemniało nagle w oczach, gdy te słowa przeczytał. Po chwili, zdobywszy się na spokojny namysł, siadł i napisał do nich obojga list, załączając z powrotem nadesłane pieniądze. W liście było dużo goryczy, zawiedzionych nadziei i dumy. Dźwięczała też nuta upokorzenia, które Beńkowski odczuwał na myśl o tem, w jakiem świetle przedstawić się musiała jego osoba pani Maryi.

W liście były i wyrzuty i gniew, ale najwięcej było spowiedzi ranionego przez rzeczywistość serca młodziannego. Ta nuta szczerości, smutku, bolu i goryczy wywarła niespodziewane wrażenie zarówno na pani Maryi, jak i na jej mężu. Za jej namową Mączyński udał się nazajutrz zaraz rano do jednego z członków komitetu „Pomocy naukowej“, którego znał osobiście bliżej, niż innych, i po długiej z nim konferencyi, udał się do hotelu, w którym mieszkał Beńkowski.

Czy jest pan Beńkowski u siebie? zapytał portyera.

„Zapewne rzeczy pakuje. Jest“.

„A to on gdzie wyjeżdża?“ zapytał adwokat.

„Dziś wieczorem — do Berlina ma podobno jechać. Tak mówił przynajmniej, dodał obojętnym tonem portyer, gdyż Beńkowski należał do gości, którzy mu nie dawali sposobności otrzymywania napiwków.

Po chwili adwokat był w pokoju Stasia.

Beńkowski, ukończywszy pakowanie swych rzeczy, siedział przy oknie, trzymając w ręku gazetę, której nie czytał. Oczy jego błądziły gdzieś po szarej ścianie przeciwległego domu. Wejście adwokata nie zmięszało go wcale

Źlem pana cenił — rzekł adwokat — przepraszam za to. Czuję się dłużnikiem pańskim, i jeśliby moja pomoc, lub rekomendacya mogły panu pomódz — — naprzykład w uzyskaniu stypendyum „Pomocy Naukowej“ — — dodał, chcąc czemprędzej postawić kwestyę na właściwym gruncie.

Staś obojętnie się spojrzał na niego i z ironicznie — bolesnym uśmiechem rzekł: „Przecież jestem politycznie skompromitowany“.

Adwokat odparł żywo.

„O tem nie zapominam bynajmniej. Ale to jest trudność, którą ja już poczęści przezwyciężyłem. Pan nam tylko da solenną obietnicę, że się podczas studyów wyłącznie zajmiesz nauką, a stać będziesz zdala od wszelkiej agitacyi... Słowo pańskie będzie wystarczającą gwarancyą“.

„Że się wyrzeknę — — agitacyi? powoli wycedził Staś. To, co pan nazywa agitacyą, może się powoli w sercu samo wytlić pod naciskiem okoliczności“.

„A więc?“ — zapytał adwokat.

„Pozostanę sobą“, rzekł przecinającym wszelką dyskusyę tonem Beńkowski... Podobna propozycya dowodzi tylko, że mnie pan jeszcze mniej zna, niż wtedy, gdy mi pan posyłał jałmużnę“ dodał z goryczą.

„A gdyby się znalazło u mnie miejsce w kancelaryi?“ mówił adwokat.

„Wszak go jeszcze wczoraj nie było“.

„Znalazłoby się dziś — specyalnie dla pana“.

„Jałmużna — i zawsze jałmużna, panie doktorze, rzekł z goryczą Beńkowski, — tylko pod inną formą. Żal wam się mnie zrobiło, ale tylko taki żal — jak marznących na śniegu wróbli. A ja przyjąłbym pomoc, chyba od tych, coby mnie rozumieć chcieli, ale nie litowali się nademną, zresztą niema o czem mówić — jadę do Berlina“.

„Jak panu się podoba“ zakończył rozmowę adwokat i wyszedł.

Przypadek zrządził, że gdy Beńkowski nad wieczorem podążał na dworzec kolejowy, na zakręcie ulicy ujrzał wysiadającą z dorożki przed magazynem mód panią Maryą. Skłonił sią grzeeznie, lecz dumnie i z podniesionem do góry czoszedł swoją drogą. Jemu się zdawało, jak gdyby w jej spojrzeniu dostrzegł na sekundę chęć odezwania się do niego, która potem zmieniła się w milczący, choć serdeczny ukłon.

Dochodząc do dworca kolejowego, spostrzegł piękny pojazd, który go wyminął, a z pojazdu wysiadła cała rodzina Danielewskich. Na dworcu znalazło się kilkanaście osób znajomych, które Danielewskich odprowadzić chciały do pociągu. Danielewscy odjeżdżali do Berlina z Poznania, widocznie dlatego, że bali się nowych demonstracyi w Siekierzynie. Całe towarzystwo zasiadło w sali pierwszej klasy, a że do odejścia pociągu było jeszcze kilkanaście minut, więc kilka korków od butelek szampana pukněło na strzemienne.

Pociąg zajechał, rodzina Danielewskich, z guwernantką, pieskiem i panną służącą zajęła osobny przedział pierwszej klasy, a gdy pociąg ruszał, nie było końca powiewaniom kapeluszy i chusteczek.

A w przedziale czwartej klasy jechał tym samym pociągiem samotny wędrowiec — i gorzko mu było.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kazimierz Wróblewski.

Młodość Kornela Ujejskiego.

(1823—1843)

SZKIC LITERACKI

I.

Nazwisko Ujejskich było nader pospolite w Polsce. Szlachta, nosząca je, pieczętowała się Nowiną (z przydomkiem Pilath), Pogonią, Gryfem i Grzymałą. Ujejscy, o których nam tu chodzi, mieli w herbie Szreniawę bez krzyża i wywodzili się z województwa krakowskiego, w którem posiadali znaczniejsze dobra ziemskie, między innemi miejscowość Ujejsce. Jednakże mimo względnej zamożności i szerokiego rozgałęzienia się rodu, nie odegrali w dziejach Rzeczypospolitej roli wybitniejszej. Jeden tylko Tomasz Ujejski (ur. 1613, um. 1 sierpnia 1689) od roku 1656 po Wespazyanie Lanckorońskim biskup kijowski i czernichowski, mąż wielkiej świątobliwości i niemałego rozumu, a nader gorliwy krzewiciel katolicyzmu w rozległej dyecezyi swojej, ozdobił mitrą biskupią klejnot rodzinny [1].

W końcu stulecia XVIII Ujejscy Szreniawici, piszący się z Rupniewa, siedzieli w ziemi tarnowskiej. W aktach urzędowych z tego czasu [2] spotykamy imiona pięciu braci Ujejskich: Tomasza, Onufrego, Joachima, Piotra i Ignacego.

[1]) Życie Tomasza Ujejskiego jezuita J. Brietius opowiedział i wydał w r. 1706 w Brunsherdze. Tomasz Ujejski był biskupem do roku 1677, poczem wstąpił do zakonu jezuitów w Wilnie i tam rządził domem professów. W roku 1821 zwłoki jego przeniesiono z Wilna do Żytomierza. Por. Enc. Orgelbr. 1867 T. XXV. s. v. Ujejski.

[2]) Księgi tabuli krajowej lwowskiej: Dominiorum et Instrumentorum libri.

Ojciec ich, Józef, ożeniony z Apolonią Siedlecką, był stolnikiem sandomierskim, posiadał w tarnowskiem Świerczków, Rolną, Białę i Hyszów z przyległościami, nadto w rzeszowskiem majątek Koniuszki. Hyszów i jeszcze jedną wieś sprzedał [1]) w czasie konfederacyi barskiej, aby wraz z zięciem swym, Tadeuszem Rogalińskim [2]) wystawić pułk jazdy, którego był regimentarzem i od towarzyszy broni otrzymał przezwisko obozowe: Wilk.

Z wymienionych już tu synów Józefa Ujejskiego, najstarszy Tomasz, zginął jako konfederat pod Krystynopolem, Onufry, Joachim i Ignacy pozostali w stronach rodzinnych, a Piotr Aleksander, otrzymawszy przy dziale rodzinnym sumę znaczniejszą, przeniósł się starym obyczajem szlachty polskiej na Ruś Czerwoną, gdzie w dniu 24 kwietnia roku 1799 kupił od rodziny Mikołaja Bojarskiego [3]) wieś Wasylkowce między Czortkowem a Kopyczyńcami na Podolu galicyjskiem.

Ten sam Piotr Aleksander Ujejski był oficerem galicyjskiej gwardyi szlacheckiej, przybocznej cesarza austryackiego Józefa II.

Szlachcicowi, który w rodzie swoim miał wprawdzie tylko jednego senatora, ale za to liczne, a szanowne kolligacye, szlachcicowi temu w owych czasach, gdy szlachta dość oględnie garnęła się do rządu rakuskiego, zaciągnięcie się w poczet członków gwardyi nadwornej nie musiało zapewne przedstawiać zbyt wielkich trudności. Wiązały się z niem niezawowodnie różnorodne nadzieje, które jednakże rozwiały się, gdy galicyjska gwardya nadworna, utworzona pod dowództwem księcia generała ziem podolskich (w r. 1782) w r. 1791 przestała istnieć [4]). Wtedy Piotr Ujejski, nieco zawiedziony, miał bowiem być ulubieńcem samego cesarza, wysyłanym z ważnemi depeszami do różnych dworów, między innemi do siostry cesarskiej, Maryi Antoniny [5]), powrócił na wieś i oddał się wyłącznie zajęciom gospodarskim, szczególnie zaś w pierwszych latach po zakupieniu Wasylkowiec, oczyszczeniu ich z długów, nielicznych zresztą, ale zadawnionych.

Synami Piotra, z Angielki Anny Scott, byli Erazm i Piotr Ujejscy. Ten drugi, ożeniony z Maryanną Wolańską, wziął później po ojcu, zmarłym w r. 1820 [6]) Wasylkowce, które pozostały przez lat kilkadziesiąt własnością rodziny Ujejskich.[7])

Erazm ożenił się, już jako wdowiec [8]) z rodzoną siostrą bratowej, Ludwiką Wolańską, a otrzymawszy od teścia Beremiany, w obwodzie czortkowskim, gospodarzył w nich odtąd przez lat kilkanaście.

[1]) Księciu Hieronimowi Sanguszce w czerwcu 1775 wedle ksiąg Dom. lib. 3 p. 373, jednakże zapewne dużo wcześniej przed formalnem spisaniem kontraktu.

[2]) żonatym z Kunegundą Ujejską.

[3]) Księgi tab. krajowej: Dominiorum libri 293 p. 101 i 102 i Liber Nov. Relat. 79 p. 335. Cena kupna Wasylkowiec 23.750 złp. Syn Piotra, Erazm Felicyan, zapisany, jako właściciel do ksiąg w dniu 6 sierpnia 1829, w dziewięć lat po śmierci ojca. Dominiorum libri 27 p. 102. Później Wasylkowce przeszły na własność brata Erazmowego, Piotra, o czem zresztą w tekscie.

[4]) St. Pepłowski. Z przeszłości Galicyi (1772—1862) Lwów 1895. str. 49.

[5]) Bądzkiewicz str. 1.

[6]) Pochowany w Husiatynie nad Zbruczem. Szczegóły genealogiczne czerpię ze wspominanych już ksiąg, a nadto z drzewa genealogicznego, które Kornel Ujejski wypracował w Pawłowie dnia 15 grudnia 1886. Odpisu tego drzewa dostarczył ś. p. Kordyan Ujejski.

[7]) Do r. 1840 Dom. lib. 293 p. 334.

[8]) Pierwsza żona Ochocka.

W Beremianach, wsi położonej w prześlicznej okolicy, przy ujściu Strypy do Dniestru, Erazmowstwu Ujejskim urodził się syn pierworodny [1]), którego imię miało zyskać rozgłos niezwykły w całej Polsce — Kornel Ujejski.

Kornel Ujejski urodził się dnia 12 września r. 1823.

Najbliższe otoczenie Kornela w jego latach najmłodszych, prócz rodziców i braci: Adolfa, Bronisława i Edwarda, stanowili jeszcze rodzice matki, chorąży Józef Wolański, jego żona Teresa z Witwickich, kobieta, jak świadczą ci, którzy ją jeszcze zapamiętali [2]), cnot wielkich, domowych i obywatelskich, oraz ich krewny, wychowaniec liceum krzemienieckiego Napoleon Henryk Karol Kozicki z Tarnawki, gość w Beremianach częsty, a zawsze mile witany i widziany.

Już zapewne w najmłodszych latach dziecięcych Ujejskiego nie była nań bez znaczącego wpływu religijność wielka Wolańskich, trzeba zaś to podnieść, że do dziadka, a szczególnie do babki, niemal ubóstwiającej kochanego wnuka, mały Kornel był przywiązany szczerze, czego ślady spotykamy w „Trzech strofach“ [3]). Matką i ojcem nazywa tam babkę i dziada, jakby chciał przez to powiedzieć, że w sercu swem dziecięcem nie umiał robić różnicy między nimi, a własnymi rodzicami. Niemniejszem też było jego przywiązanie do tych ostatnich. Dość przejrzeć „Stance do mojej matki“ [4]), albo „Podróż przerwaną“ [5]), aby uzyskać miarę tego przywiązania. Matce poeta przypisuje wpływ niemały na wyrobienie się jego charakteru. „Bo jeśli kiedy — mówi do niej w Stancach —

.... w nim (synu) dusza zagrała
Dla cnoty, jeśli myśl powstała wielka,
To tobie winien, boś ty, rodzicielka,
Tę iskrę w jego sercu rozdmuchała.

Jej, sam to wyznaje, zawdzięczał „przestrzeżne słowa“, kiedy się rwał „z pieluch matczynych“ w świat szeroki, i do niej po burzach i walkach wracał pod „rodzinną strzechę“ ze słowami na ustach:

Oto twe dziecię po męczącym boju
Na pierś twą kładzie zszamotane czoło,
I swe ramiona oplata wokoło,
Niby dwie miękkie gałązki powoju.[6])

Ile matka rozwijała w synu serce, tyle ojciec musiał niezawodnie starać się o wyrobienie w nim hartu duszy, „płakać przy synu“ w chwili rozrzewnienia „miał sobie za zakał“, a znając dobrze rycerskie tradycye swojego rodu, zaznajamiał z niemi chłopca, lubiącego od lat najmłodszych słuchać długich opowiadań ojcowskich.

Słowami Mickiewicza Kornel Ujejski miał prawo nazywać dziecięctwo swoje

[1]) W „Stancach do mojej matki“ Ujejski mówi o sobie: „Oto twe dziecię, twój syn pierworodny...“ i t. d. Poezye Kornela Ujejskiego, Wydanie lipskie 1866 II. 70. Mówię to z naciskiem, gdyż zdarzało mi się spotykać zdanie, że Adolf Ujejski był starszym bratem Kornela. W genealogii, przytaczanej tu, Kornel wymieniony także, jako najstarszy.

[2]) Z listu do autora p. Malwiny z Zarudzkich Wiwulskiej, spokrewnionej przez Witwickich (Karol Witwicki, stolnik latyczewski był bratem Józefowej Wolańskiej) i Białeckich (siostra Józefa Wolańskiego była żoną szambelana Białeckiego z Wolańskimi).

[3]) Kwiaty bez woni. Lwów 1848 str. 103.

[4]) Poezye wyd. lip. l. c.

[5]) Poezye wyd. lip. I. 93.

[6]) Zwiędłe liście, Lwów 1849 str. 39 i nast.

„sielskiem, anielskiem“. Płynęło mu ono na łonie rodziny, kochającej go, w jednej z najpiękniejszych miejscowości naszego kraju. Malowniczy krajobraz budził w duszy dziecięcej uczucie piękna, rozległe pola, otaczające Beremiany, zasiane kurhanami, przypominały boje dawne z hordami Tatarów, a niedaleki Jazłowiec, gdzie był kościół łaciński, cel coniedzielnych podróży na nabożeństwo, posiadał wspaniałe ruiny zamku, pamiętającego także zapasy liczne, a krwawe. Do tych to ruin Kornel zaglądał często, zaludniając je w wyobraźni dziecięcej postaciami rycerzy, zakutych w stal i broniących Rzeczypospolitej przed zalewem pogaństwa.

W najmłodszych latach życia Kornela Ujejskiego zdarzył się w domu jego rodziców wypadek, który w pamięci chłopca zapisał się wspomnieniem niezatartem. Oto, o Beremiany oparli się żołnierze, uczestnicy powstania listopadowego, niedobitki korpusu generała Józefa Dwernickiego, który, jak wiadomo, w niebezpiecznej wyprawie na Wołyń i Podole, przyciśnięty do granicy austryackiej musiał ją przejść i broń złożyć. „Osoba, która udzieliła mi tej wiadomości — pisze Antoni Bądzkiewicz [1]) — dodaje, że Kornel Ujejski w późniejszych latach dokładnie przypominał sobie, jak widok owych oficerów i kilkudziesięciu biwakujących żołnierzy, a następnie opowiadania ich przygód żołnierskich, rozbudziły wyobraźnię poety“. Ślad tych wspomnień znajdujemy w „Podróży przerwanej“, gdzie czytamy [2]):

W cichym naszym domu jawią się wąsacze,
Ludzie różnej broni, powagi i rangi,
Żelazne ogniwa z rozbitej falangi,
A każdy z nich siarki dorzuca po szczypcie
Na żar mojej duszy: Ten o Saragosie,
Ten prawi o Włoszech, tamten o Egipcie,
Ten swój krzyż pokazał, ów odkrył swe blizny,
A inny zapłakał na imię ojczyzny.
To znów, gdy rozmarzy ich księżyca promień,
Chórem pieśń wojenną puszczają po rosie.....
Zanadto, zanadto orkanowych wrażeń
W gorącą mą duszę dęło — buchnął płomień!

Musiała więc ta dusza chłopca ośmioletniego być nader wrażliwą, skoro tak silnie wstrząsały nią wrażenia zewnętrzne. „Tym poetycznym płomieniem — czytamy u Bądzkiewicza (stronica 5) — były pierwsze jego wiersze, układane na wzór śpiewanych przez oficerów. Autor oddał je matce; ta ucieszona odczytywała je gościom. Wiersze te, równie, jak i inne próbki wierszowane, przez samego autora zniszczone zostały“.

Ale wyobraźni dzieci nie można rozbudzać bezkarnie. Nadmierne jej pobudzenie mści się na młodym organizmie, nadwerężając system nerwowy nieraz tak silnie, że on chroma przez całe życie późniejsze, daremnie szukając środka, któryby przyprowadził go do równowagi. Coś podobnego, choć może w stopniu nie tak wysokim, stało się z Kornelem Ujejskim. W „Podróży przerwanej“ autor opowiada [3]):

[1]) Kornel Ujejski. Zarys biograficzno literacki. Napisał Antoni Bądzkiewicz, Kraków-Petersburg 1893 str. 4. Osobą tą jest syn poety śp. Kordyan Ujejski, który pod kierunkiem ojca sporządził dla Bądzkiewicza notaty biograficzne. Stąd też książkę Bądzkiewicza potrzeba uważać w wielu razach nie za opracowanie, ale za źródło.

[2]) Poezye wyd. lip. I 82,

[3]) Poezye wyd. lip. 1 82.

Chodziłem, jak w ogniu, z całą świtą
[marzeń,
Do nauk, do zabaw, nie było ochoty
I ciągle mnie rwało gdzieś za wielkie
[płoty.
Straciłem apetyt, sen, humor, pobladłem,
I z łaski wąsatych moich oratorów,
Nakoniec obłożnie na zdrowiu zapadłem.

Do chorego zastosowano dwa sposoby leczenia, wzajem się niewykluczające, a kolejno aplikowane. „W dziesiątym roku życia — sam mówi, tym razem prozą [1]) — zapadłem na nerwową gorączkę. Znany ze swej sławy lekarz Kosiński oddał mnie zdrowym, stroskanym rodzicom, sam opłacając życiem mój powrót do zdrowia". Leczył go, zdaje się, hydropatyą i „wyrwał z grobu, ale nadwerężył nerwy, te narzędzia duszy człowieka". „Odtąd — opowiada dalej poeta — straciłem żywość i wesołość dziecka. Pierwsze nawiewy wrażeń od świata i ludzi, otaczały czoło moje mgłą melancholii; byłem tęskny i smutny. Pieśń, która wydzierała się z dziecięcej, a później z młodzieńczej piersi chorą była".

Objaśniając te słowa Kornela Ujejskiego, Antoni Bądzkiewicz podnosi słusznie (str. 5), że tkwi w nich przesada, bo ani jego pieśń nie była chora, ani też organizm, który pomimo burz, jakie wstrząsały nim mocno i często, doczekał przecież szczęśliwie lat siedmdziesięciu kilku.

Niemało jednakże rodziców Kornela musiał niepokoić zły stan zdrowia ich dziecka, to też przemyśliwali nad sposobami skrzepienia nadwątlonych sił chłopca. Oto, co czytamy w „Podróży przerwanej":

[1]) Dziennik literacki 1860 str. 263.

Nieboszczyk mój ojciec kochał mię nad
[życie,
Zmartwił się nieborak, naściągał doktorów,
„Bierzcie całe mienie, a ratujcie dziecię!"
Doktorowie siedzą, radzą i zwątpili,
Zmieniają lekarstwa, — gorączka nie
[stygnie,
A ja ciągle jęczę i wołam w malignie:
„Ach, ja tam pojadę, tam gdzie oni byli!"
Więc oni do ojca: „Panie — desperacya!
Rózga nie pomoże, bo mocna fiksacya.
Trza jechać." — Mój ojciec płazem wziął
[tę troskę
I ze mną na wojaż [1]).

Wojaż miał być tym drugim z wymienionych wyżej środków terapeutycznych.

Pierwsza wycieczka w strony nieco dalsze, to zarazem także jeden z pierwszych epizodów w życiu Kornela Ujejskiego, bogaty we wrażenia takie, jakich życie nie zdołało już nigdy osłabić. Przypadł on na rok 1832, lub 1833, gdyż od jesieni roku 1833 Ujejski musiał już być uczniem gimnazyum w Buczaczu, które ukończył w roku 1839 [2]).

Celem podróży, w którą Erazm Ujejski wybrał się wraz z synem, a odbywał ją zapewne rzemiennym dyszlem, było stare gniazdo rodzinne, pozostające już wtedy w obcych rękach, Świerczków.

. . . . . . Na stu koniach jadę!
Każdy dzień zarumienia moje lica blade,
Sieje mi blask do oka i przysparza siły,
A jedziemy rodzinnem Podolem; mogiły
Z łona pól wstają — na nich posępny
[samotny,

[1]) Poezye wyd. lip. I 82.
[2]) Nauka w tej szkole trwała przez lat sześć, na tej więc podstawie możemy w przybliżeniu oznaczyć datę powyższą.

Siedzi orzeł . . . . . .
. . . .
Tak w pobożnej pielgrzymce stąpający
[skromnie
Po ziemi, co, jak święta, przemawiała do mnie,
A zdrowszy, bo uczuciem oddychając
[zdrowem,
Zwiedziłem kawał kraju. Staję pod Tar-
[nowem,
Mój ojciec kazał zjechać z gościńca,
[a właśnie
Słońce kładło się do snu, jasne, uroczyste,
A niebo było ciche, marzące i czyste,
Jak me serce. Mazury na koniach ha-
[łaśnie,
Krakowską ciągnąc zwrotkę, na noclegi
[lecą,
W takt pieśni brzęczą kosy ostrzone na łące;
Opodal widać sioło, nad strzechami sioła
Roztacza się mgła biała, jak skrzydło
[anioła,
A nad nią blachy krzyża, jak gwiazdy
[wschodzące,
A pod nią szyby chatek, jak łzy ludzkie
[świecą
Ten widok tajemniczym upoił mnie czarem,
Gorętsza mi po żyłach przebiegła krew
[rwista,
Popatrzyłem na ojca — on w tle wioski
[szarem,
Utopił łzawe oczy, a wyraz tak rzewny
Miał w twarzy. Chwilę jeszcze waham się
[niepewny,
Nagle krzyknę: To Świerczków!
„Świerczków moje dziecię,
Tutaj twoi przodkowie mieszkali lat trzysta,
A dziś nie wiem, kto mieszka". Rodzinne
[tradycye
Wszystkie, któremi ojciec młodość moją
[bawił,
Wstały w mojej pamięci [1]).

[1]) Poezye wyd. lip. I 82 i nast.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kazimierz Bielański.

ŻĄDZA.

Na szyję twoją włożyłam obroże,
Jak psa, powiodłam w dom ciemnej ulicy,
Rzuciłam ciebie w uścisk nierządnicy
Na brudne, sprośne, plugactw pełne łoże.

I choć się kiedy w piersi twojej wzmoże
Pragnienie ogniem płomiennej tęsknicy
Za cichych blaskiem òcz śnionej dziewicy
I choć przypomnisz, że gdzieś jasne zorze

Świeciły tobie w życia wiośnie młodej,
Że mogłeś święcić uczuć złote gody,
Które ci miały dać klucz ideału —

Ja cię, jak źrebca, mając w uździenicy,
Znów na pierś nędznej podam nierządnicy,
Chociażbyś krzyczał i łkał aż do szału.



Stanisław Sierosławski.

Okno naprzeciw.

(Dokończenie).

Tłómaczyłem sobie, że niezwykły widok, przemęczenie mózgu, samotność, złożyły się na to ogólne wrażenie, które tak silnie mną wstrząsnęło. Wszystko daremnie. Zmieniałem zewnętrzną formę myśli, treści ich zmienić nie mogłem. Mimo najstraszniejszych z sobą zapasów, musiałem myśleć o kobiecie. Ani lód, którym obkładałem głowę, ani środki uspokajające nie mogły ugasić płomieni, szalejących w mózgu.

ich zobaczę, że spadnie ten ciężar, który przytłoczył mi mózg i druzgotał zdolność myślenia. Rozdrażnienie moje rosło z każdą nową chwilą oczekiwania, wreszcie nie mogłem już dłużej panować nad sobą, jak szalony wybiegłem z domu, chociaż nie wiedziałem sam, dokąd idę i po co.

Po kilku godzinach wróciłem. Uliczna miłość wzbudziła we mnie tak straszny wstręt, że uciekłem, zanim dotknąłem ciała kobiety. Nie próbowałem już wal- na mnie żadnego wrażenia, przeciwnie, czułem się spokojniejszym, wzburzona fala nerwów układała się do równowagi. Ale niedługo to trwało. Skoro tylko wszedł do pokoju, poczułem, że gorączka chwyta mnie na nowo. Kiedy rzuciła mu się na szyję, zdawało mi się, że ktoś wbija tysiące drobnych igieł w mój mózg. Ostatnim wysiłkiem starałem się zebrać rozprószone myśli w części przynajmniej, aby nie popełnić jakiegoś szaleństwa.



MARIENBURG (MALBORG).

I znowu pewnego wieczora stałem przy oknie, aby na nich patrzeć. Czekałem długo. Zdawało mi się, że już od wieków czekam, cały świat wrażeń i myśli przekołował w mózgu. Ale okno, w którem ześrodkowywała się moja uwaga, było ciemne. Czekałem długo. Okna przeciwległych domów gasły jedno po drugiem, potem cała ulica pogrążyła się w ciemności, a ja czekałem jeszcze. Zdawało mi się, że coś wyswobodzi się we mnie, skoro czyć z sobą, wiedziałem, że daremne będą wszystkie moje wysiłki, cały dzień przeleżałem na łóżku, nie czułem głodu, nie odbierałem żadnych zgoła wrażeń, tylko to jedno pożądanie w tysiącznych kształtach przewijało się przez mój mózg.

Skoro zmierzch zapadł, jak lunatyk podszedłem ku oknu. Była sama. Widziałem, jak chodziła niespokojnie po pokoju, oczekując na niego. Widziałem, że nie czeka daremnie. Ale widok jej nie zrobił Przyciskałem głowę do zimnych tafli szklanych okna, to znowu gniotłem rozpalone skronie. Nienawidziłem go, chciałbym wydrzeć mu z ramion tę kobietę, pieszczoty ich sprawiały mi niewysłowioną mękę. A kiedy odszedł, znowu uspokoiłem się, zasnąłem i spałem przez kilka godzin. Mózg wypoczął znacznie, a chociaż ciągle jeszcze palił mnie i bolał, to jednak łatwiej ten ból znosiłem, niż dni poprzednich. Mogłem przynajmniej myśleć.

Postanowiłem za każdą cenę wyrwać się z tej niemocy, która mną owładnęła. Ponieważ ją uważałem za główną przyczynę wszystkiego, postanowiłem się z nią zobaczyć, posiąść ją nawet, byleby wyjść z tego koła obłędu. Przypuszczałem, że w ten sposób najpewniej wydrę z mózgu zarodki złego.

Od rana czatowałem przy oknie, czekając chwili, kiedy wyjdzie z domu. Nareszcie zobaczyłem ją. Wybiegłem na ulicę, i skradając się, szedłem za nią. Zdawało mi się, że mnie ogarnia znowu dawny szał i w ostatnich przebłyskach świadomości drżałem obawą chwili, kiedy do niej przemówię. Ciągle szedłem za nią. Nagle, jak gdyby pchany jakąś mocą, skoczyłem ku niej...

— Rzuciłeś się pan na nią i zabiłeś — przerwałem, bo niecierpliwie wyczekiwałem zakończenia.

Spojrzał na mnie zdumiony, jak gdyby to, co powiedziałem, wydało mu się czemś niemożliwem i zamyślił się.

— Tak, to rzeczywiście dziwnie, że nie zabiłem jej wtedy. Nigdy nie pomyślałem o tem. Rzeczywiście dziwne. Wobec tego rozdrażnienia, w jakiem się znajdowałem...

— Więc co się stało ostatecznie?

— A tak, prawda. „Skoczyłem ku niej, jak dzikie zwierzę, rozszalały, straszny i chwyciłem ją za ramię.

Przestrach obezwładnił ją, zdusił w gardle krzyk bolu i trwogi. Spojrzała na mnie. Oprzytomniałem.

Tego spojrzenia nie zapomnę nigdy. Byłaby się wtedy zgodziła na wszystko Nie myślała o oporze nie mogła myśleć. Byłaby się poddała biernie wszystkim moim żądaniom.

Szeptała jakieś słowa, pewnie modlitwy i stała ciągle w miejscu, chociaż wypuściłem już jej ramię, stała nieruchomie, niepróbowała krzyczeć, ani uciekać. A przecież ludzie przechodzili obok nas.

Dopiero później, kiedy myślałem o tem wiele, zrozumiałem, jak się to stało. Bo są ciosy, które człowiek obojętnie przyjmuje, chwile, kiedy najstraszniejszą rzecz uważa za zupełnie naturalną. Wydaje mu się wtedy, że to co przyszło, przyjść musiało i dlatego nie dziwi się, nie broni. Może gwałtowność ciosu oszołamia go i nie pozwala mu myśleć. Bądź co bądź bez żadnego oporu poddaje się wszystkiemu.

Tak i z nią być musiało.

Patrzyła na mnie z trwogą, ale nie widziałem zdumienia na jej twarzy.

Zacząłem się dziwić sam sobie, co robię na ulicy, przy niej. Szał ustąpił. Była mi w tej chwili najzupełniej obojętna.

Odwróciłem się i odszedłem w przeciwną stronę. Wracałem do domu dziwnie spokojny. Zdawało mi się, że wszystkie przejścia ostatnich dni były tylko dręczącym snem, z którego się teraz przebudziłem. I dzisiaj jeszcze nie umiem sobie tego wszystkiego dokładnie wytłómaczyć. Zdaje się, że cała moja zmysłowośćześrodkowuje się w mózgu, i że kobietę mogę odczuwać tylko mózgiem. Pożądanie moje jest ogólne, pożądam każdej kobiety każdą uważam za swoją. I o każdą jestem zazdrosny. Ilekroć zobaczę kobietę w objęciach innego, wrząca fala krwi uderza mi do głowy, ogarnia mnie uczucie wściekłości, chociaż już nie tak silne, jak wtedy.

Ale pan ciekawy dowiedzieć się końca mojej historyi.

Skoro więc wróciłem do domu, byłem niemal chorobliwie wesoły i swobodny. Ale równocześnie czułem się bardzo zmęczonym i pragnąłem wypoczynku. Położyłem się i zasnąłem twardym snem. Przebudzenie było nagłe i dziwne. Wprost ze snu przeszedłem w stan jawy, bez najmniejszego przejścia. Obudziłem się, podniosłem się w tej samej chwili i poszedłem prosto do okna.

Dlaczego się obudziłem? Czyżbym odczuł ich pocałunki? Nie wiem. Nie mogłem sobie tego nigdy wytłómaczyć. Są to sprawy zbyt niepochwytne.

Stanąłem przy oknie i chociaż oczy moje musiały się dopiero przyzwyczajać do światła, byłem pewny, że siedzą tam oboje Choroba wracała, wracała z większą jeszcze mocą. Jednem szarpnięciem ręki rozwarłem okno, i wychyliłem się połową ciała. Tak, siedzieli tam oboje, przytuleni w uścisku miłości. Przypominam sobie jeszcze, że zataczając się, jak pijany, odszedłem kilka kroków od okna, potem opuściła mnie świadomość. Musiałem zdjąć ze ściany rewolwer i wystrzelić.

Dopiero huk wystrzału oprzytomnił mnie. Bezmyślnie spoglądałem przed siebie, słyszałem jakieś zamięszanie, krzyki, widziałem ludzi biegających niespokojnie, ale wszystko to było mi obojętne.

Padł trupem. Na miejscu. Wogóle jestem złym strzelcem, wtedy kula nie zboczyła ani trochę. Zabiłem mojego wroga, kochanka, z którym mnie zdradzała".

Zamilkł! Ogarnęło go nadzwyczajne wzruszenie; był strasznie blady, twarz skrzywiła mu się boleśnie. Milczałem, aby uszanować jego cierpienie. Przez chwilę było cicho w sali.

Potem otrząsnął się i spojrzał na mnie dziwnym, smutnym wzrokiem.

Z niekłamanem współczuciem uścisnąłem jego rękę.

— I to wszystko. Resztę możesz pan znaleźć w aktach kryminalnych.

— Policya zastała mnie przy oknie, z rewolwerem w zaciśniętej dłoni. Nie potrzeba było dowodzić winy. Nie wypierałem się niczego. Uwzględniono okoliczności łagodzące. Może uwolnionoby mnie nawet, gdybym był powiedział to wszystko, co panu opowiedziałem. Ale nie chciałem, zresztą nie mógłbym był nawet tego zrobić, przez kilka miesięcy byłem prawie obłąkany.

Czasem myślę o tem, a wtedy strach mnie przejmuje przed samym sobą. Zbrodnia ta odebrała mi energię i chęć życia, w wędrówce po świecie szukałem zapomnienia, wreszcie zamieszkałem tutaj. I żyję. Chociaż, czyż życie moje można nazwać życiem? Ale wola Boża.

Władysław Studnicki.

Z krainy przemocy i ohydy.

(Z powodu „Dziennika szpiega")

Przed kilkoma laty został pochwycony dziennik słynnego szpiega, Antoniego Wiśniewskiego. Obecnie część tego dziennika została wydaną przez londyńską księgarnię polskiej partyi socyalistycznej. Broszura ta jest bardzo zajmująca, bo uchyla rąbek z tego rządowego aparatu, który uciska i demoralizuje dwie trzecie społeczeństwa polskiego. Wiśniewski, inteligentny robotnik, dzięki znacznym zdolnościom literackim, u wielkiej rzutności, oraz spryt reporterskiego, stał się korespondentem i stałym współpracownikiem paru pism polskich, przemknął w sfery literackie i cieszył się popularnością wśród koła literatów warszawskich radykalnego kierunku. Człowiek ten mógłby pozyskać imię i dostateczne zarobki, ale wskutek nałogowego pijaństwa zdemoralizował się i doszedł do najniższego stopnia upadku moralnego, — stał się szpiegiem. Jego rozległe stosunki i pewne wykształcenie polityczne, czyniły zeń cenny nabytek dla żandarmów warszawskich, szlachetnego p. Broka, podług „Słowa Polskiego".

Literacka żyłka Wiśniewskiego, zniewoliła go do prowadzenia dziennika. Dziennik ten zawiera dużo wiadomości o osobach znanych w polskim świecie literackim, ale odnośne ustępy nie zostały ogłoszone

przez wydawców, którzy zadowolili się wydaniem tej części dziennika Wiśniewskiego, gdzie on opisuje działalność szpiegów i żandarmów.

Ludzie ci, przedstawiają się bardzo wstrętnie, lecz nie są tak niebezpieczni, jakby to mogło wydawać się. Czytając opisanie tych panów przez Wiśniewskiego, zrozumiałem jest, dlaczego „Polska rozwi'ać się może w nocy cieniu“; dlaczego może rozwijać się potajemne uświadomianie społeczne i narodowe naszych mas robotniczych i chłopskich w państwie cara.

„Tilory (szpiedzy), dawni byli najemni, zwyczajni cywilni śmiertelnicy i żandarmi przebrani. Pierwsi nie podlegali wcale karności wojskowej, drudzy przeciwnie, gdyż byli to podoficerowie żandarmeryi, chodzący stale po cywilnemu. Między pierwszymi i drugimi była wielka nieprzyjaźń, drudzy ciągle twierdzili, że pierwsi im sprawę psują. Nareszcie drudzy wygryźli całkiem pierwszych, są panami sytuacyi. Taki filor pobiera 32 rs. miesięcznie, mieszkanie, opał, światło, całkowitą odzież, obuwie, parasol, koszulę, czapkę, kapelusz, krawat itd. Jest więc bardzo dobrze oposażony. Obowiązkiem jego jest, pilnować wskazanej osoby, lub miejsca. Otóż prowadzą oni zwyczaj próżniaczy. I rzeczywiście taki filor, jeżeli chce, to może próżnować. Wprawdzie zdaje on codziennie raport o rezultatach swoich czynności, ale temu łatwo zaradzić. Pisze np. tak: Zacząłem obserwacyę o godz. 6 rano, ale N. N. wyszedł dopiero o godz. 11, poczem udał się na ulicę Marszałkowską pod nr. 90, gdzie kupił papierosów. Następnie zaszedł na obiad i przesiedział do godziny 12, poczem udał się do cukierni, przy rogu Marszałkowskiej i Nowogrodzkiej, gdzie siedział do 4 tej, czytając gazety. Gdy wyszedł, oddałem obserwacyę filorowi N. N.“. A on dopiero z domu wyszedł o 4 godz, aby oddać obserwowanego, znając już jego zwyczaje, wiedząc, że ten o godzinie 4-tej będzie wracał z cukierni. Karnowski za swoich rządów, posłał raz wachmistrza dla sprawdzenia, co robią filorzy, ale oni potem skarżyli się, że wachmistrz im popsuł sprawy. Dziś Utgof, (żandarmski podpułkownik), dostał porządnego nosa od Broka za filorów, bo Brok kogoś ze śledzonych sam widział, a filorzy mówili, że go niema. Powiedział: „pri was niczewo nie działajut, tolko pjut“ (przy panu nic nie robią, tylko piją); słowem, powtarza się toż samo, przy Debilu (19—20 str.).

„22. października. Dziś Utgof wpadł do celaryi wsciekły, że agenci go sprzedają, i dodał, że jeden agent, jakiś inteligentny, poszedł do kogoś, i opowiedział mu wszystko za 75 rs, co mu doniesiono. Postanawia zbić go“. 24. października. Sprawa z owym agentem co wziął 75 rs. przedstawia się tak: jest to były inspektor jakiegoś towarzystwa ubezpieczeń, ale sprzeniewierzył 4000 rs. i wyrzucono go. Ma sporo stosunków. Otóż na B., który ma tu jakiś kantor, było o coś podejrzenie, chociaż to wcale nie polityczna sprawa. Powiedziano to owemu ajentowi ale udał się do B., powiedział, że zna dobrze Utgofa, że Utgof prosił go o wyjaśnienie tej sprawy, że on chce przestrzedz B., ale tą sprawą zajmuje się jeszcze jeden żandarm, który śledzi, trzeba więc go przekupić, i zażądał 75 rs. B. dał, umówił się z nim dalej, że zejdą się u niego razem z różnemi zainteresowanemi osobami. Następnie listownie zawiadomił go o terminie zebrania. Z listem tym ajent ów przyszedł do Utgofa, i zażądał pieniędzy. W końcu zjawił się u Utgofa B., i opowiedział mu całą historyę z 75 rs., i wykazało się wtedy, że ów ajent spodziewał się zarobić na tym interesie kilka tysięcy rubli. Utgof był wściekły, bo padało na niego podejrzenie, iż on w ten sposób bierze łapówki, po porozumieniu się z B ukryto u niego ludzi i zapisali całą rozmowę, podczas owej narady. Sprawa stała się więc jasna. Dziś właśnie przyszedł do Utgofa ów ajent i zdał Utgofowi raport na niekorzyść B. Utgof go strasznie pobił i byłby lepiej pobił, gdyby nie żona, która temu właśnie przeszkodziła. Ajent się przyznał, i tłumaczył, że nędza go do tego zmusiła, że ma dzieci itp. (3 str.).

Jeżeli powyższe ustępy charakteryzują szpiegów, to następny mówi nam o sztuczkach żandarmskich. Dawniej, gdy Utgof był w Puławach, to miał tam dwóch ajentów, i to bardzo dobrych: jednym z nich był jakiś facet, który bardzo wielu studentów obsługiwał, a drugim — gospodarz biblioteki studenckiej. Gdy Bielskij (oficer żandarmski) udał się do Puław, narzekał przed Utgofem na brak agentów. Utgof mu poradził wziąć tych poprzednich. Tak się też stało. Ale tu Bielskij strzelił bąka przez to, że nie powiedział agentowi, jak ma postępować. Ów lokaj był posyłany przez studentów do włościan, rozdawał im książki, zwoływał na zebrania, na lekcye itd. Kiedy nareszcie nastąpiły aresztowania i śledztwo, wynikło, że lokaj ten winien i obecnie wielki kłopot, żeby i jego nie pociągnięto do odpowiedzialności; tem bardziej więc Bielskij jest w kłopocie, gdyż, jeśli powie, że to jest jego agent, to z Petersburga przyszłą mu nosa, jakby za wywoływanie zaburzeń. Nie wiedząc, co robić, poradził się Utgofa i ten kazał mu najprzód wciągnąć do aktów sprawy na początku, jakoby, „zajawlenie“ (oświadczenie), ze słów tego lokaja, w którem on powiada, że usługując studentom, był niejednokrotnie przez nich posyłany z książkami do włościan, że to wykonywał, ale przekonawszy się o treści tych książek, pobudzony uczuciami wiernopoddańczemi i obawą kary, zeznaje co następuje. W ten sposób lokaj będzie wykręcony, a zarazem możebyć badany, jako świadek. W podobny mniej więcej sposób żandarmi wykręcają agentów“. (7 str.).

Robota żandarmów jest wielce utrudnioną ich wzajemnym antagonizmem z policyą i dążnością różnych urzędów żandarmskich do zmonopolizowania spraw politycznych w swem ręku. W pierwszej kwestyi charakterystyczne dane znajdujemy w dzienniku Wiśniewskiego w sprawie, gdzie policya chciała przywłaszczyć sobie zdobyte wiadomości przez żandarmów; antagonizm urzędów żandarmskich różnych gubernij charakteryzuje aresztowanie Wiśkiego w Lublinie z rozporządzenia tamecznego pułkownika żandarmów, gdy Wiśniewski, z poruczenia Utgofa, udał się na obce dla ostatniego lubelskie terytoryum żandarmskie. (Str. 24—25).

Z kwestyj o szerszem znaczeniu ważną jest obawa żandarmów przed szerzeniem oświaty ludu, chociażby drogą rozpowszechniania ocenzurowanych książek, popłoch, jaki wywołało wśród nich rozpowszechnienie proklamacyi, „Jak się ma zachować ludność na wypadek wojny?“ Proklamacya radziła w razie wojny niszczyć drogi i wstrzymać się od płacenia podatków. Na sesyi u Broka rozpatrywano kwestyę, na kogo rząd rosyjski może liczyć w Polsce, i podniesioną była potrzeba, zjednywania ludu przez odpowiednie wydawnictwo rządowe. Tu się tłumaczy geneza „Oświaty“, wychodzącej od kilkunastu miesięcy w kancelaryi Imeretyńskiego. Walka z najazdem, aby była skuteczną, musi, jak wiadomo, oprzeć się na ludzie. Preludyum tej walki jest, walka z rządem o lud, o jego duszę, polityczne przekonanie i sumienie.

Z dziennika widać, że Utgof i jego towarzysze są porządnymi ignorantami pod względem politycznym. Utgof nie może rozróżnić partyi katolickiej w Niemczech od Polaków. Brok i comp. przypisują zbyt wielką wagę w ruchu anti-rządowym w Królestwie, później Galicyi i Ameryki, stąd też interesują się stosunkami polskiej emigracyi i działaczami społecznymi Galicyi. Pod tym względem mają więc lepsze wyobrażenie, niż to, na jakie zasługujemy. Ruch narodowy litewski jest przeważnie prowadzony na środki z Ameryki pochądzące, chociaż w Ameryce jest tylko kilkanaście tysięcy Litwinów. Zabor rosyjski dotąd nie doświadczał żadnej pomocy od dwumilionowej polskiej emigracyi w Ameryce, ani też od Galicyi, której zawsze dawał i daje ludzi i ideje.

AL. H.

Z WIEDNIA.

(Dokończenie).

KRONIKA ARTYSTYCZNA.

Ile razy przyjdzie mi mówić o *secesyi*, jest się w ambarasie, jak do tej kapryśnej damy przystąpić i jakie wobec niej zająć stanowisko, taką jeszcze atmosferą tajemniczości owiana! Bo proszę — prócz najwidoczniejszej i najjawniej manifestującej się zalotności i narzucającej kokieteryi (plakaty publicznie porozlepiane, ugarnirowane czyli obramienione, są najwyraźniejszą parą długich czerwonych *pończoch!*) — kto jeszcze dotąd był w stanie uchwycić i utrwalić charakterystykę jej rysów, kto zaglądnął w jej oczy? Nietylko bowiem w coraz innej szacie i barwie, ale istny Mefisto, pod coraz to inną postacią, nam się prezentuje i coraz to inną strawą nas raczy. Czego chce i dokąd idzie, kto na razie odgadnie? Już z ośmiu dotąd wydanych katalogów, widać, że sama z sobą jeszcze w niezgodzie, bo każdy innym jest formą, rozmiarami, ustrojem i dekoracyą, aż stanęła na długiej chudej i wązkiej, niby *wokandzie* dawnych naszych woźnych, (iżby ją bezpiecznie mogli ukryć w długich cholewach swych palonych butów). Tamto miało przynajmniej sens i swoją racyę, ale dziś, kiedy nikt palonych butów z cholewami nie nosi?!.. A może ma to i głęboką racyę bytu, i wielka myśl w tem leży, może ten format katalogu dostrojonym jest tylko do tonu ascetyczno-gotyzującego, drągowato-smukłego, pod znakiem którego to „stylu" stoi niniejsza wystawa?! Być może. W takim razie, jeśli u nas „poznać pana po cholewach" — to w tym wypadku, odgadniesz, co się na wystawie święci, po formie jej katalogu... Z tych ośmiu, a dziś już dziewięciu wystaw w ciągu niespełna trzech lat, każda inną miała specyalność, a ledwie tylko, że dwie pierwsze odpowiadały właściwemu założeniu „Zjednoczenia artystów austryackich" pod godłem: „*Secession*".

Już trzecia z rzędu poświęcona była wyłącznie obcym: był więc „*Meunier*-Saal", „*Rysselberghe*-Saal", „*Raffaeli*-Zimmer", „*Crane*-Zimmer" i na tem koniec. Piąta poświęcona była wyłącznie rysunkom, i wszelkiego rodzaju drukom. Szósta najciekawsza, bo wyłącznie poświęcona *sztuce Japońskiej*, ze zbiorów berlińczyka, Adolfa Fischera, ze sławną ową przedmową, w której „Wydział" wyznał szczerze i otwarcie (może trochę nieoględnie, było to w lutym r. 1900), że w Japończyźnie odnalazł całą tajemnicę „nowego stylu", bo tam w końcu znaleziono, czego dawno i długo szukano: „*nowych środków* ekspresyi artystycznej. O siódmej z rzędu mówiliśmy już w lipcu r. z., a ta ósma, o której mam mówić, jest wystawą *przemysłu artystycznego* obcokrajowego i współzawodnictwa z niem swojskiego, a dzieła sztuki malarskiej na drugim planie, i to tylko w formie kartonów, czyto akwarelowanych, czy pastelowanych, byle nie olejnych.

Wystawa ta zrobiła senzacyę i długie czasy krytyka i publiczność mówiła tylko o szafach i stołkach, tapetach i łóżkach, szkłach, garnkach, koronkach i lawoarach, sztuki na razie nikt nie dostrzegał. Podzielono się na dwa obozy, jedni rozkoszowali się nad charakterystycznemi" pełnemi harmonii meblami w stylu kojcowym, kasowym i kufrowym, inni ze zgrozą i oburzeniem odwracali oczy od tego dziwactwa, i głośnym protestem odezwali się w pismach publicznych przeciw temu rozpasaniu artystowskiemu, „gdyż inaczej musielibyśmy opuścić to nasze piękne miasto". W końcu dopatrzono się i dzieł pendzla i dłuta, lecz tu znów to samo rozdwojenie opinii. Z dumą jednak i chlubą powiedzieć muszę, że jeden tylko artysta jednomyślnie u wszystkich znalazł uznanie, poklask i powodzenie, a jest nim Polak we Francyi (Sevres i Paryż), osiadły *Wacław Szymanowski*, rzeźbiarz. Wystawił cztery bronzy niewielkich rozmiarów i już w pierwszych dniach znalazły wszystkie nabywcę, jak wogóle rzeźba tym razem w obu wystawach dominujące artystyczne zajęła stanowisko, głównie jednak zagraniczna. Tu wspomnieć należy Belgijczyka *Khnopf* zresztą malarza, ale i w rzeźbie wcale nie pośledniego. Jego biust marmurowy głowy kobiecej z odciętą czaszką, pomimo tego może dziwactwa, imponuje szlachetnością linij, wytworną charakterystyką i wdziękiem. Tylko że ten sam typ angielskiej wytwornej damy, powtarza się równocześnie w czterech jego pastelach, które wobec plastyki marmuru swojem mistycznem zamgleniem nie uwydatniają mistrzowskiej w każdym razie ręki, czy ona za dłuto, czy chwyci za pendzel, lub ołówek. Wyrasta także ponad głowy innych Anglik N. *Jungmann* w swoim powrocie pielgrzymów, prawda, że w stylu i technice quattrocenta, ale co za siła kolorystyczna, co za imponujące wrażenie! Wspomnieć można jeszcze *Ferdynanda Andri*, bodaj, czy nie galicyanina, oryginalny talent. Wiele jeszcze pozostaje do powiedzenia, nie wspomniałem n. p. nic jeszcze o panu *Minne*, zagadkowym rzeźbiarzu, ale czas i miejsce na to nie pozwalają, a są tam i rzeczy, których lada czem pozbyć nie można.

Zdzisław Dębicki.

Drobiazgi.



Błądziła długo moja pieśń,
Przez sennych płynąc wód zwierciadła,
Świetlanych marzeń biegnąc smugą,
Błądziła długo,
Pod blaski się miesięczne kładła,
Aż oto do twych stóp
Jak biały kwiat upadła...

Błądziła długo moja pieśń,
Od młodych goniąc lat
Marzenia i widziadła,
Aż oto, zbiegłszy świat,
Jak biały kwiat,
Do twoich stóp upadła...

* * *

Na drogi moje,
Po których szedłem samotny,
Spojrzały oczy twoje
I upadł blask stokrotny
Na drogi moje...

Na serce moje,
Kiedy targało się w męce,
Słodkie i dobre swoje
Tyś położyła ręce —
Na serce moje...

Na usta moje,
Które miłości bluźniły —
Tyś położyła swoje,
By odtąd szczęście piły
Z nich usta moje...

Nowości literackie.

Adam Krechowiecki: „O tron“. Powieść historyczna z XVII w.

„Ostatni dynasta„ „Piast“ i obecnie wydana „Sława“ złożyły się na tę trylogię.

Jako autor „Szarego wilka“, „Starosty zygwulskiego“ i „Veto“ dowiódł pan Adam Krechowiecki, iż posiada wiele danych na powieściopisarza historycznego. W obecnie wydanej pracy nie dopisał mu wprawdzie polot i rozmach, tak znamienny dla poprzednich utworów, ale brak tych zalet szczodrze okupuje doskonałe i wierne przedstawienie epoki, którą autor przedstawił nam na podstawie głębokich snać i sumiennych studyów.

Powieść rozgrywa się w epoce nieokiełzanych zapędów elektora brandenburskiego, Fryderyka Wilhelma, do osiągnięcia władzy królewskiej i zerwania stosunku lenniczego względem Polski. Jednym z jej głównych bohaterów jest znany w dziejach Krystyan Ludwik Kalkstein, zapalony zwolennik zwierzchnictwa rzeczypospolitej nad Prusami książęcemi, który, jak wiadomo, szukał oparcia w Polsce, w imieniu szlachty i stanów pruskich wnosił do króla polskiego rozmaite supliki i protesty przeciw bezprawiom rządów elektora, a nawet chciał zorganizować wyprawę ochotniczą w celu odebrania Prus Książęcych. Elektor, zaniepokojony tem działaniem Kalksteina, zdecydował się na niesłychany w dziejach zamach na oficera i szlachcica polskiego i wydał polecenie porwania go i dostawienia do Kłajpedy.

Porwanie to, uskutecznione w Warszawie, pod bokiem majestatu, przez rezydenta elektorskiego, Brandta, i dalsze tragiczne losy Kalksteina przedstawione zostały w powieści wiernie i interesująco. Po za tem odkrył nam autor ówczesne machinacye polityczne i wskazał, skąd Polsce największe groziło niebezpieczeństwo. Podstępny elektor byłby niewątpliwie słabą i rozdartą na stronnictwa Polskę do ostatecznego doprowadził rozstroju, gdyby nie zjawienie się Sobieskiego, który jako rycerz i król wiekopomną otoczył się „sławą“, a Polsce na długie jeszcze lata byt i poważne wśród obcych mocarstw stanowisko zapewnił.

* * *

Kazimierz Laskowski. „W ojców ślady“. Powieść.

P. Laskowski pisze gładko, bezpretensyonalnie, z dużym rozmachem i jeszcze większym optymizmem. W słońcu maluje wieś, którą kocha, w słońcu maluje także bohaterów swoich, którzy zazwyczaj z ziemią zrośli i mają dusze czyste i serca kochające.

„W ojców ślady“ idzie młody Tadeusz Głębocki. Otrzymał on wyższe wykształcenie za granicą, kilka jego rozpraw naukowych zwróciło uwagę krytyki na młodego autora, co go do dalszej zachęciło pracy, wskutek czego młodzieniec nie ma wcale ochoty wracać do szarego życia na rodzinnym zagonie i do ciężkiej w obecnych warunkach pracy na roli. Bawiąc jednak u rodziców, powoli, pod rozmaitemi wpływami, a pod wpływem najprzemożniejszym miłości ku pięknej kuzynce Broni, rzuca dawne plany i zostaje na wsi wśród swoich, żeni się i znajduje zadowolenie i szczęście.

Powieść nie przynosi nic nowego, ani formą ani treścią. Jest w niej nawet efektowny pożar i bohaterskie ratowanie z płomieni, jest koń rozbiegany, są starania kochanki o ranionym i t. d., rzeczy, dawno już zużyte i kwalifikujące się do „lamusów literackich“, ale jest także i myśl poczciwa, jest idea, która zawsze ma prawo przemawiać i którą chętnie się słyszy nawet po raz setny.

* * *

Dr. Henryk Gomperz. „Uzasadnienie filozofii neosokratycznej“. Przełożył z upoważnienia autora Ant. Krasnowolski.

„Dla człowieka dobrego niema zła, ani za życia, ani po śmierci“. Takie jest wyznanie wiary zwolenników t. zw. „szkoły sokratycznej“, założonej w r. 1890 przez Leona Haasa, która to szkoła nie jest bynajmniej towarzystwem filozoficznem, ani kierunkiem lub sektą filozoficzną — jest ona poprostu gminą wierzących.

Czy wiara ta zgadza się z wynikami dzisiejszej nauki i jak ta nauka wobec wyznawców neosokratyzmu ma się zachować — oto pytania, na które w książce swojej usiłuje dać wyczerpującą odpowiedź profesor Gomperz.

Książka ta dzieli się na trzy części.

Część pierwszą poświęcił autor historycznemu uzasadnieniu filozofii neosokratycznej. Szeroko uwzględniając osobistość Sokratesa i zasadnicze podstawy jego nauki, przechodzi on następnie do głównej zasady filozofii neosokratycznej, poczem rozpatruje kolejno i odpiera zarzuty, jakie zasadzie tej mogą czynić ludzie pobożni z jednej, a niewierzący z drugiej strony.

Część druga rozprawy zajmuje się uzasadnieniem psychologicznem filozofii neosokratycznej, czyli traktuje „o dobrym człowieku“.

Część trzecia pracy stanowi etyczne uzasadnienie neosokratyzmu, gdzie znajdujemy też odpowiedź na pytanie, co to jest prawdziwe dobro i zło, oraz określenie t. zw. „Paidii“ Sokratesowej, w której jednoczą się: rozum, cnota i szczęście.

Przekład polski dziełka prof. Gomperza dokonany został wiernie językiem poprawnym, jasnym i ścisłym. Wobec budzącego się w społeczeństwie naszem coraz szerzej zainteresowania kwestyami etycznemi, książka niewątpliwie licznych znajdzie czytelników, zwłaszcza, że dotyczy kierunku, który, zdaje się, nie będzie przemijającym.

* * *

Marya Czesława Przewóska. „Z nowych dni“. Syntetyczny zarys końca wieku.

„Tym, którzy czują, myślą i pragną“ — poświęciła autorka książkę swoją. Jest to zbiór rozpraw, szkiców i artykułów, które powstały w okresie od roku 1890—1900, a obecnie, zebrane w jeden sporych rozmiarów tom, tworzą całość barwną i zajmującą.

Nie wszystkie kwestye są tu traktowane równomiernie. Jedne cieszą się specyalnem umiłowaniem autorki i te starała się p. Przewóska pogłębić i rozwinąć szerzej — innych ledwo dotyka, pobieżnie załatwiając się z niemi, jak to uczyniła ze „Smutkiem w literaturze“, zjawiskiem, tak właśnie znamiennem dla końca wieku ubiegłego.

Rozporządzając poważną erudycyą, słowem płynnem i zdolnością popularnego ujmowania kwestyi filozoficznych, p. Przewóska pisze przystępnie i książka jej dla szerszych kół bardzo będzie interesująca. Czytelnik, obeznany z nowszymi prądami w dziedzinie nauki i sztuki, oczytany w literaturach obcych i wykształcony wszechstronnie, nie znajdzie tu nic nowego, ale każdy, kto pochłonięty jest swoją pracą zawodową o tyle, że nie może trzymać pulsu na tętnie życia dnia dzisiejszego we wszystkich jego przejawach — spotka się tu z ciekawym wykładem i z dobrą informacyą co do wielu rzeczy. Zwłaszcza rozprawy: „Fryderyk Nietzsche, jako moralista i krytyk“, tudzież „Anarchizm ducha a indywidualizm“ na bliższą zasługują uwagę. Wprawdzie nie wszędzie z autorką godzić się można, i w niektórych wypadkach należałoby żądać od niej więcej analizy, ale pomimo to prace te jej za liczyć można do najsumienniejszych i najbezstronniejszych, jakie się w danym przedmiocie u nas ukazały.

Książkę zamykają dwie rozprawy etyczne: „Jak uczynić człowieka doskonalszym“, osnute na tle pracy pod powyższym tytułem, wydobytej z papierów pośmiertnych Adama Mickiewicza i „Prawdy etyczne“, podane tu według znanej i głośnej, a dziś już przetłómaczonej na język polski książki Sheldona „Ruch etyczny“. Te dwie rzeczy, wydane oddzielnie, zasługiwałyby na jak najszersze rozpowszechnienie.

Z pism.

(Kwartalnik historyczny. 1900 Rocznik XIV, zeszyt IV).

Czwarty zeszyt, zamykający XIV rocznik tego cennego kwartalnika, przynosi na czele artykuł Al. Winiarza pt. Działalność naukowa Stosława Łaguny. Ze względu, iż postać i dzieła zmarłego dnia 28 kwietnia 1900 w Warszawie, jednego z największych mistrzów polskiej nauki historycznej, — mało są znane szerszemu ogółowi, pozwalamy sobie w kilku słowach streścić artykuł Winiarza.

Ś. p. Stosław Łaguna urodził się w Sandomierzu dnia 23 listopada 1833 r. Do gimnazyum uczęszczał w Piotrkowie, a w roku 1851 zapisał się na wydział prawny uniwersytetu petersburskiego, gdzie wówczas wykładali Polacy: Hieronim Krzyżanowski i Antoni Czajkowski. Po ukończeniu uniwersytetu Łaguna powrócił do Warszawy i rozpoczął aplikacyę urzędową, lecz w roku 1857 powołano go do Petersburga, do komisyi kodyfikacyjnej Królestwa Polskiego, której prezesem był senator Romuald Hube. Tu szybko awansował, a równocześnie w charakterze adjunkta objął katedrę prawa administracyjnego w uniwersytecie petersburskim.

Już jednak w kwietniu r. 1861 podał się o uwolnienie od obowiązków w uniwersytecie i wrócił do Warszawy, gdzie objął posadę sędziego trybunału cywilnego, na której do roku 1864 pozostał. W roku 1877 Aleksander Oskierko pozyskał go dla redakcyi Ateneum, w której Łaguna pracował aż do śmierci.

Z prac naukowych ś. p. Stosława Łaguny wymienimy niektóre: O prawie granicznem polskiem, napisana w r. 1858 jeszcze w Petersburgu, drukowana jednak bez zmian dopiero w roku 1875. Kilka uwag nad wywodem historycznym niektórych artykułów Statutu Wiślickiego (1859), Hanza nad Dźwiną w XIII wieku (1859), rzecz wyjaśniająca nieznane dotychczas stosunki handlowe Rygi z Nowogrodem, Połockiem i Smoleńskiem i Dwie elekcye (1878). Była to ostatnia rozprawa Łaguny; odtąd pisał już tylko krytyki i recenzye, które co do wartości naukowej dorównywały jego rozprawom.

„Spuścizna naukowa po ś. p. Łagunie — mówi p. A. Winiarz — przedstawla się na oko bardzo szczupło. Składa się na nią zaledwie kilka krótkich rozpraw, kilka obszerniejszych i kilka krótszych recenzyi. Kto jednak wejrzy w treść tych prac, ten zrozumie odrazu, że autor, który tak pracował, dużo ogłaszać nie mógł. W tych nielicznych publikacyach tkwi bowiem tyle treści i erudycyi, że w nich niemal każdy ustęp starczy za osobną monografię, gdyż w kilku wierszach zawarty jest nieraz trud i mozoł długich badań i dociekań".

W dalszym ciągu następuje praca A. Szelągowskiego p. t. Przesilenie pieniężne w Polsce za Zygmunta III i Miscellanea, na którą składają się Wł. Abrahama Rękopis Nr. 538 biblioteki municypalnej a Cambrai, Br. Dembińskiego, Przyczynek do historyi Piatolego i tegoż List Glayra do Stanisława Augusta.

Kończą zeszyt jak zwykle liczne Recenzye i sprawozdania, Kronika, Przegląd czasopism etc. Nadmienić jeszcze musimy o ciekawej polemice Edwarda Bogusławskiego z prof. Aleksandrem Brücknerem z powodu ostrej, lecz słusznej krytyki napisanej przez tego ostatniego na Edwarda Bogusławskiego „Historyę Słowian" (t. II.).

H. U.

Ze świata.

Związek naukowo-literacki we Lwowie, dla uczczenia 25-lecia pracy pisarskiej Henryka Sienkiewicza, ogłosił konkurs literacki.

Konkurs obejmuje charakterystyki współczesnych polskich pisarzy i artystów. Prace poszczególne nie powinny przekraczać objętości trzech arkuszy (48 stron) druku, formatu „Wiedza i życie" (wydawnictwo Związku naukowo-literackiego, nakład księgarni Altenberga we Lwowie). Termin nadsyłania prac do 1-go maja r. b. Prace przesyłać należy na ręce prezesa Związku (Prof. dr. Jan Pawlikowski, Lwów, ulica 3 maja l. 5). Mają one być zaopatrzone godłem, a w dołączonej zamkniętej kopercie zawierać nazwisko i adres autora, tudzież jego oświadczenie tej treści: „Oświadczam, że praca pod godłem.. dotąd drukiem ogłoszona nie była i że pod warunkami konkursem oznaczonemi oddaję ją na wyłączną własność Związku naukowo-literackiego we Lwowie".

Nagród ustanawia się pięć: jedna na 200 koron, jedna na 100 koron, trzy po 50 koron. Zarówno prace nagrodzone, jak i te, które sąd konkursowy obok nich jako najlepsze odszczególni, przechodzą na wyłączną własność Związku. Nawzajem Związek zobowiązuje się ogłosić je drukiem bądź w wydawnictwie swem „Wiedza i życie", bądź w osobnem wydaniu, najdalej w przeciągu pół roku od chwili rozstrzygnięcia konkursu, płacąc po 60 koron honoraryum od arkusza (16 stron) druku formatu „Wiedza i życie". Nagrody będą wypłacone zaraz po rozstrzygnięciu konkursu, honorarya po wydrukowaniu.

*

Trzeci zjazd dziennikarzy słowiańskich odbędzie się w Dobrowniku pomiędzy 8—10 kwietnia r. b. Komitet, urządzający zjazd, ogłasza, iż uczestnicy kongresu otrzymają bilet wolnej jazdy z Rjeki do Dubrownika i z powrotem. Odjazd z Rjeki dnia 5 kwietnia o godzinie wpół do 11 przed południem, powrót do Rjeki dnia 11 tegoż miesiąca o godzinie wpół do 5 po południu. Korespondencye należy adresować do dra Szime Mazzury, wydawcy „Obzora" w Zagrzebiu.

*

Szkoła dramaturgów ma być założona w Nowym Jorku W zakładzie tym uczyć się będzie pisania komedyi i dramatów młodzież, pragnącą się poświęcić dramaturgii. Kurs ma trwać lat dwa. Na pierwszym kursie uczniowie obznajamiani będą ze stroną techniczną budowy sztuki, na drugim mają już pisywać najpierw jednoaktówki, potem sztuki dwu-, trzy-, czteroaktowe i t. d. Po egzaminach odbędzie się konkurs, a sztuka, odznaczona nagrodą, odegrana będzie na jednej z pierwszorzędnych scen krajowych. Myśl założenia takiej szkoły powstała skutkiem zupełnego braku dramaturgów amerykańskich. Może ten, jedyny chyba w swoim rodzaju, zakład dostarczy Ameryka-nom jakiego Shakespeare'a.

*

VIII międzynarodowy kongres przeciw pijaństwu obradować będzie w Wiedniu od d. 9 do 14 kwietnia r. b. Zgłoszenia na uczestników Zjazdu przyjmuje biuro w Wiedniu (IX 3 Schwarzpanierstrasse 17). Będzie to pierwszy w Austryi kongres przeciw pijaństwu.

*

Mikołaj Tesla, znany fizyk i wynalazca, zawiadamia w dzienniku nowojorskim „Sun", że ma już zapewnione potrzebne fundusze na urządzenie wszechświatowego telegrafu bez drutu, własnego systemu. Energia elektryczna będzie skierowana w ziemię, wytworzone przez to drgania będą mogły być przejmowane wszędzie na świecie przy pomocy specyalnych aparatów.

*

Słynny dyament Koh-i-Noor, co znaczy „góra światła", mylnie zaliczony jest do brytańskich klejnotów państwowych, czyli t. zw. „regaliów". Stanowi on własność prywatną zmarłej królowej Wiktoryi, oprawny jest w broszę i przechowany w zamku Windsorkim, a monarchini nosiła go tylko podczas wielkich uroczystości urzędowych. Raz jedyny oglądała go szersza publiczność — na wielkiej międzynarodowej wystawy londyńskiej w r. 1853. W owym czasie szacowano wartość kamienia na 150.000 fst. Ważył on początkowo 800 karatów, lecz był kilkakrotnie szlifowany i dzisiaj waga jego wynosi tylko jeszcze 106 karatów. De kamienia tego przywiązany jest szczególny zabobon indyjski, a mianowicie, że nieodłączną od niego jest zwierzchność nad Indostanem. *Koh-i-Noor* był tak pilnie strzeżony i przechowany w zamku Windsorskim, że oprócz królowej i tego, którego pieczy został powierzony, nikt nie wiedział w jakiem miejscu się znajduje.

Bańki mydlane.

Wichura bije w szyby —
Na oknie mroźna sieć!
W tej sieci — profil ryby...
Poznaję... Ach, to śledź!
Rasowy mleczak ulik,
Ma łuskę krojem frak —
Żaboty zdobne w tiulik,
Na łebku nowy „klak",
Osadził szkło w źrenicy
I płynie z całych sił —
Wprost w bramę kamienicy,
Gdzie wczoraj balik był.
Otwarta domu brama..
Salonik — okna front!...
W salonie: papa, mama
I córek cały rząd!
Ziewają zgodnie wcale,
Zapustny licząc plon...
O świetnym karnawale
Z panieńskich słychać łon!
Sześć „polek" miała *Mila*
„Walczyków — *Lili* pięć!
Pan Henryk wśród kadryla
Do *Lory* zdradzał chęć!
Pan Jan za „pierwszą razą",
Dał *Sawie* bukiet róż!
Od radcy — tańczył z *Azą* —
Pół rubla dostał stróż!
Mamunię za herbatkę
Mecenas w rękę cmok!
Pan doktor spoił tatkę
I sam się spił jak smok!
Najmłodszej nawet *Linki*
Nie minął grzeczny Iks —
Przynosił jej pralinki
Pół rubla funt! *Prix fixe!*
Ziewają zgodnie wcale
I roją, roją wciąż...
Że jeszcze w karnawale
Trafić się może mąż!
Przy takiem powodzeniu
Niechybnie wpadł ktoś w sieć..
Krok słychać na podsieniu...
Do sali zajrzał śledź!
Mamusia buchła płaczem,
Załkało córek sześć...
A papa — marsz! cichaczem
Na miasto „rybkę" zjeść!

El.

Wydawca: **K. Kołakowski.** Odpowiedzialny redaktor: **Wład. Strzelecki.**

Z drukarni „Dziennika Polskiego" (Dra Felixa Woynarowskiego) pod zarządem Franciszka Kattnera, ul. Cicha l. 5.

Z drukarni „Dziennika Polskiego“, ul. Cicha 5